№ 5.

WARSZAWA.

1 Lutego

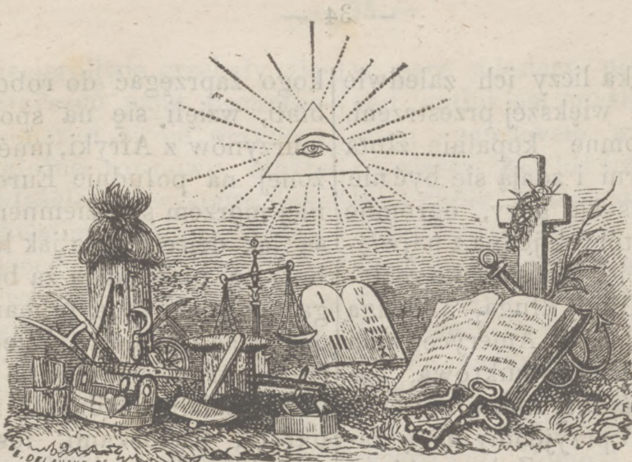
1863.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1257.



„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

O AMERYCE

Choć się kto jeografii nie uczył i nie słyszał nawet, że ziemia podzielona jest na pięć części: t. j. na Europę, Azję, Afrykę, Amerykę i nową Holandję, to mógł się dowiedzieć z gazet czy z Kuryera, o ziemi Ameryką zwanej, gdzie się teraz bratobójcza toczy wojna, gdzie się swoi ze swoimi biją o to, aby utrzymać nie ludzkie i niechrześcijańskie prawo dozwalające: aby ludzie biali, trzymali w niewoli ludzi czarnych, czyli murzynów. Otóż ci Amerykanie którzy niby wierzą w Chrystusa i w Ewangelię (gdzie napisano że wszystkich ludzi Pan Bóg na obraz i podobieństwo swoje stworzył, a więc są równi w obec Boga,) ci Amerykanie, powtarzam, obchodzą się z temi biednemi niewolnikami gorzéj niż dobry gospodarz z bydłem. Obracają ich do bardzo ciężkich robót, a mianowicie: do uprawy trzciny cukrowej i bawełny, (która z powodu wojny teraz i u nas znacznie podrożała,) a za ciężką pracę dają im tyle tylko pożywienia, aby z głodu nie pomarli; kupują ich i sprzedają na targowiskach jak zwierzęta domowe, wydzierając dzieci rodzicom, żony mężom, i tak sobie z niemi postępują jak to bywa z inwentarzem. Niewolnikowi pod karą śmierci niewolno się oddalać od pana, ale właściciel który się tam nazywa plantatorem może go zabić, i nic za to przed sądem ludzkim nie odpowiada,— chociaż Bóg sądy ludzkie inaczej kiedyś osądzi.

Otóż dla utrzymania takiego bezbożnego prawa niewoli, toczy się teraz w Ameryce wojna pomiędzy białymi. Jedni chcą żeby niewoli niebyło a drudzy, którym ona wielkie pieniężne zyski przynosi, radziby ją utrzymać, a jak się to skończy, zobaczymy niedługo.

Ameryka, którą nazywają także nowym swiatem, albo nowym lądem, dla tego że później niż inne części ziemi odkrytą została, jest prawie cztery razy większa od Europy. Ma 700,000 mil kwadratowych powierzchni; ale stosunkowo jest bardzo mało zaludniona, bo kiedy Europa liczy przeszło 270 miljonów

mieszkańców, to Ameryka liczy ich zaledwie 60 miljonów, na 4 razy większéj przestrzeni. Ameryka posiada ogromne kopalnie złota i srebra, które w Kaliforni i zdają się być nie wyczerpane. Są tam wysokie góry, ogromne lasy, jeziora i rzeki, z których jedna z największych na całym świecie, jest szeroko rozlewająca się Mississipi 600 mil długa, a druga Amazonka jeszcze większa. W Ameryce rodzi się najobficiej bawełna, trzcina cukrowa, kakao, ryż, pachnąca wanilja, rodzaj bluszczu leśnego, którego łodyżki przyjemny mają zapach, i do ciast są używane. Z Ameryki też pochodzą dziś tak wszędzie używane kartofle i tytoń.

O tej Ameryce bardzo wiele ciekawych rzeczy powiedziećby można, bo tam wszystko inaczej, niż w naszej starej Europie. Niektóre zwierzęta przewieziono z Europy do Ameryki, jak n: p: wieprze, których tam dawniéj nie było, a które się tam później dopiero rozmnożyły.— Mówią też, że przed odkryciem Ameryki, nie było u nas szczurów, i że ta plaga ludzkich mieszkań dostała się do Europy, na przypływających z nowego świata okrętach.

Ameryka rozciąga się od północy ku południowi, od jednego lodowatego morza do drugiego, długim na 2,000 mil a szerokim na 900 mil pasem lądu, którego południowy koniec, ludzie na okrętach opłynęli, ale północne wybrzeże tak daleko ku biegunowi posunięte i połączone z lodowatemi skałami pólnocnego oceanu, że pomimo wielkich starań i ofiar łożonych z ludzi i z pieniędzy, nie zdołano dotąd prawdziwych granic tej okolicy rozpoznać.

Część Ameryki jest teraz pod panowaniem różnych narodów europejskich, a mieszkańcy jej w znacznej części *wywodzą* początek swój z Europy, i są koloru białego. Prawdziwi zaś Amerykanie, tam od niepamiętnych czasów zamieszkali, są koloru miedzianego czyli skóry czerwonéj. Otóż z początku biali ludzie zaczęli używać czerwonych do uprawy roli, oraz do wydobywania z ziemi, złota i srebra, ale że ci ludzie czerwoni w gorącym klimacie zrodzeni i wychowani, nie wiele mając potrzeb, nie wiele też pracować potrzebowali aby je zaspokoić, okazali się niesposobnymi do ciężkiej pracy, więc ich dużo wymierało,— inni byli wytępieni, a w końcu niebyło już kogo zaprzęgać do roboty. Widząc to ludzie biali, wzięli się na sposób i zaczęli zwozić murzynów z Afryki, innéj części świata, położonej na południe Europy, a oddzielonej od niej morzem śródziemnem. Ci biedni murzyni są jak dzieci, albo jak ludzie do dzieci podobni, co przepadają za błyskotkami i pstremi gałgankami, i za te marne cacka gotowi oddać życie i wolność. Wiedząc o tej ich głupocie ci europejscy rabusie przypływali do Afryki, zwabiali biednych murzynów na swoje okręta, paciorkami, lusterkami, i różnemi świecidłami, a potem co tchu odpływali z niemi na szerokie morze, coraz daléj i dalej ku zachodowi, aż do Ameryki, i tam dopiero sprzedawali ukradzionych ludzi czarnych, za grube pieniądze, białym osadnikom amerykańskim.— Ten barbarzyński handel murzynami trwał bardzo długo, miljony ludzi sprzedawano tym sposobem na wieczną niedolę i niewolę, a nikt się temu nie sprzeciwił, nikt się za nieszczęśliwymi nie ujął. Aż dopiero niedawnemi czasy Francja i Anglja, taką między sobą zawarły ugodę, żeby ścigać i zabierać okręta podejrzane o przewożenie murzynów do Ameryki, ale się tym sposobem tylko w części złemu zapobiega, a przebiegłość ludzka umie sobie zaradzić i dostać się z zakazanym ludzkim towarem do brzegów Ameryki.

Jest jednak takie mądre i sprawiedliwe boskie prawo na świecie, że każdy grzech dla grzesznika gorzkie wydaje owoce, że czem kto grzeszy, tem bywa karany, że cudza krzywda zawsze się przeciw krzywdzicielom obróci, a z łez i krwi niewinnie przelanej klątwa boża wyrasta.

Tak też i z niewoli murzynów, wyrosła dziś straszna wojna domowa w Ameryce północnej, gdzie niewolnictwo najgłębiej zakorzenione było.

Zajęcza skórka

(POWIEŚĆ).

Przed modrzewiowym dworem bogatego Chwalimira pełno było ruchu i gwaru. Tu i owdzie snuła się bogato ubrana służba uprzątająca komnaty po obfitej, pożegnalnéj uczcie.

Osiodłane rumaki niecierpliwie grzebały ziemię, a mający towarzyszyć panu pachołkowie, z pośpiechem kończyli swoje przybory. Nakoniec umilkły głośne rozmowy, służba rozstąpiła się, gdyż właśnie pod wystawą dworu ukazał się sam Chwalimir w gronie dostojnego rycerstwa, mającego ruszyć, i połączyć się z wojskiem królewskiem, które pod wodzą samego Bolesława, szło przeciwko Węgrom, nie mogącym wtedy zgodzić się na wybór Borysa, syna niedawno zmarłego Kolomana, na swojego króla. Po za wysoką postawą Chwalimira, z wzniesionemi ku niebu oczami, stała młoda Wieńczysława małżonka jego, a obok niej sędziwy kapelan, krzyżem świętym żegnający odjeżdżających. Rycerze z szacunkiem całowali ręce siwo włosego kapłana, Wieńczysława zaś pożegnawszy męża, odwróciła się do *wiernego sługi* i przemówiła do niego: „Bogusławie! wszakże od urodzenia wiernie strzegłeś pana swego. Nie jeden już dowód dałeś twego przywiązania, tobie więc i dziś straż nad jego życiem poruczam. Bądź nieodstępnie przy jego boku, a gdy będziecie wracali z wojny niech mi twoje usta oznajmią jego przybycie. Jeżeli zaś (co nie daj Boże) legnie na polu bitwy, ty mi przywieź jego ciało, abym je ze czcią złożyć mogła w grobach ojców naszych.“ Wierny sługa przyrzekł rozkaz wiernie wypełnić, a potem poskoczył na dziedziniec, podał strzemie wsiadającemu na koń Chwalimirowi, i sam zanim na siwym koniu pospieszył w drogę. Odjechali wojownicy, i smutno zrobiło się we dworze. Łzy pożegnania były na oczach zacnej niewiasty, która męża wyprawiła na boje— zaskrzypiały za nią zawiasy ciężkiej bramy, ale wyjrzała jeszcze z okna, i zobaczyła już tylko tuman kurzu wznoszący się na gościńcu, za odjeżdżającymi rycerzami. Po powrocie do swojej sypialni, tęsknotę którą uczuła, złożyła w modlitwie przed Bogiem, lecz nic już dnia tego nie zdołało rozerwać jej ponurych myśli— a pierwsze promienie jutrzenki zaglądając przez małe w ołów oprawne szyby zastały ją jeszcze na klęczkach przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. Tak mijały dnie i tygodnie. Wiosenne słoneczko które przyświecało odjeżdżającemu Chwalimirowi z coraz większym żarem pokazując się na niebie, podniosło w górę zielone kłosy, które w parę miesięcy potem niby głowy ludzkie pod natłokiem myśli, chyliły się za najlżejszym powiewem wiatru, oczekując sierpów żniwiarzy. Ale już i żniwa minęły, i nagie pola *srebrny szron* zaczął pokrywać, a dotąd żadna wieść o losie męża nie doszła do stęsknionej Wieńczysławy. „Czy wiesz mój ojcze, mówiła dnia pewnego siedząc w gronie *służebnych swoich* z świeżo nałożoną kądzielą, do zadumanego przy kominie kapelana, że dziś od rana mam smutne przeczucia. Zdaje mi się, że dojdą nas dzisiaj wieści o naszem rycerstwie. „Pomódl się moja córko, odrzekł bogobojny kapłan. Przeczucia twoje mogą być mylne, poleć więc Bogu los męża i jego towarzyszów.— Czy słyszysz jak wiatr świszczy na dworze i deszcz pluskocze po dachu, któżby to w taką niepogodę mógł dziś do nas zajechać?“ I uczyniwszy znak Krzyża, kapelan rozpoczął głośno krótką modlitwę polecającą opiece Boga nieobecnych rycerzy. Niewiasty cichym głosem powtarzały za nim modlitwę. Lecz zaledwie w połowie zdołano odmówić słowa litanii, gdy na dziedzińcu głośne szczekanie psów oznajmiło przybywanie gościa, a silny tentent kopyt końskich dał się wnet słyszeć pod oknem. W chwilę potem stary Bogusław wszedł do komnaty, a głęboko skłoniwszy się, stanął przed swoją panią. Wieńczysława z przerażeniem spojrzała na wiernego sługę, był on bowiem bardzo zmieniony. Bladość śmiertelna okrywała jego lica, a wpół zagojone cięcie od pałasza na lewym policzku dziwnej dodawała mu powagi. „Z jakąż wieścią przybywasz do mnie“ zapytała, drżąc żona Chwalimira, i badawczo patrząc w bladą twarz Bogusława,— masz li oznajmić mi śmierć, czy też rychły powrót mego męża?„ „Powrót— pani“ odrzekł, nie zmieniając postawy wierny sługa. „Czemuż więc jesteś tak smutny? “mówiła ochłonąwszy z przestrachu Wieńczysława. „Walcząc przy boku pana mojego zostałem parę razy raniony i dotąd jeszcze cierpię, a potem rycerstwo nasze pomimo mądrości i męztwa naszego nieustraszonego króla Bolesława znaczną poniosło klęskę.— O! widzieć go trzeba było, ciągnął dalej, zapalając się stary, kiedy widząc szeregi swoje silnie naciskane z przodu i z tyłu przez wojsko Beli, wołał z zapałem: „bijcie dobrze! macie porę okazania swego męztwa, bo nie-

przyjaciel dobrze i odważnie występuje. Bywało już tak, że jeden pięciu spłoszył, a dwanaście tysięcy przed tysiącem pierzchło. Śmiało więc, naprzód a walczyć do ostatka. A wyjąwszy z pochwy miecz, który my wszyscy żurawim nazywamy, rzucił się jak lew pośród nieprzyjaciół, i kładąc trupa za każdym zamachem wołał: „umie nasz żóraw krew z silnych barków toczyć, umie je i suszyć. Śmiało, śmiało, naprzód!“ zachęcone przykładem monarchy wojsko, jak również i przykładem walecznego hetmana Wszebory, odzyskało siłę i walczyło zapamiętale. Już zwycięztwo chyliło się na naszą stronę, już niewiele brakowało do pokonania zupełnego wroga, kiedy w tem jeden z znakomitszych urodzeniem rycerzy dał znak do odwrotu. W skutek tego powstało zamięszanie na lewem skrzydle, poczęto pierzchać, i bitwę przegraliśmy.“ „O! niech będzie przeklętym ten, co stał się winnym klęski wojsk naszych.! Niechaj go nieprzyjmie pohańbiona ojczyzna i własna rodzina odepchnie od siebie“ zawołała Wieńczysława. Bugusław zbladł jeszcze mocniéj i niesdostrzeżony wysunął się z dworu. Nazajutrz poumiatano dziedziniec we dworze, oczyszczono pokoje, a w kuchni gotowano wieczerzę, tego bowiem dnia miał wrócić Chwalimir z garstką ocalonych rycerzy. Pięknie przybrana Wieńczysława, w towarzystwie świątobliwego kapelana, o dwie mile wyjechała na spotkanie męża. Lecz ani jej tkliwe pieszczoty, ani powitanie wiernej drużyny, nie zdołały rozchmurzyć czoła Chwalimira. Przy uczcie nie tknął ulubionych dawniej potraw, i tylko miód stary spełniał obfitą miarą przy stole. Wierna żona biorąc udział w jego smutku, pocieszała go łagodnemi słowy, a sądząc że to klęska wojsk bratnich była głównym do tego powodem, nie szczędziła w obecności męża głośnych złorzeczeń sprawcy popłochu w wojsku Bolesławowem. W parę dni potem przy jasnem świetle smolnych polan sosnowych płonących na kominie siedziała Wieńczysława zajęta przędzeniem, a obok niej Chwalimir przysłuchujący się uważnie, czytającemu z wielkiej w pargamin oprawnej księgi kapelanowi, kiedy wszedł sługa, i oznajmił, że poseł od króla przybył z podarkiem dla pana. Zapłonęły radością lica Wieńczysławy, Chwalimir zaś spuściwszy w ziemię oczy, milczał. Wprowadzono posła, który wręczył sporą posyłkę panu domu, wraz z pismem królewskim.— Złamano pieczęcie, lecz któż opisze zadziwienie i boleść Chwalimira i jego żony! Owa bowiem posyłka zawierała zajęczą skórkę, kądziel i wrzeciono, które ten monarcha wraz z słowami najżywszego oburzenia przesełał Chwalimirowi, jako sprawcy popłochu i przegranej. Nie było większej hańby dla wojownika, jak przesłanie zajęczej skórki i wrzeciona na znak, że jest bojaźliwym jak zając, a słabym jak niewiasta. Męztwo i odwaga jest ozdobą mężczyzny, tchórzostwo i słabość jego hańbą i podłością. Na widok też tego okropnego podarunku Wieńczysława zbladła śmiertelnie, i z wyrazem złorzeczenia na ustach padła bez przytomności, a podczas gdy się koło niej krzątano, pohańbiony rycerz, wybiegł z dworu, i już dnia tego więcéj nie wrócił, gdy nazajutrz rano sługa kościelny szedł dzwonić na nabożeństwo, z wielkiem przerażeniem ujrzał go zawieszonego na sznurze od dzwonu. Ciału samobójcy odmówiono chrześcijańskiego pogrzebu, a podczas gdy je grzebano po za wsią na rostajnej drodze, nieszczęśliwa Wieńczysława w towarzystwie jednego sługi, odjeżdżała w dalekie kraje, ażeby po za murem klasztornym w grubym habicie mniszki, ukryć swoją hańbę i niedolę.

Wycieczka do Górnego Szląska

Huty i fabryki żelazne w Królewskiej hucie, Gliwice.

Królewska huta po Siemianowicach, największy zakład hutniczy w Szląsku, odległa od Mysłowic przeszło trzy mile; koleją żelazną dojeżdża się do Świętochlowic, gdzie jest stacya, a ztąd do królewskiej huty, przestrzeń półmilową można przebyć powozem pocztowym, który dwa razy na dzień przychodzi tu i odchodzi do Bytomia.

Królewska huta miasteczko fabryczne.— przez niektórych niedawno jeszcze za wieś uważane, powstało w końcu zeszłego i na początku bieżącego stólecia, z małej osady przy kopalni węgla położonéj; Dzisiaj już zajmnje znaczną przestrzeń, domy prawie wszystkie

są murowane, lecz z daleka od siebie rozrzucone. Kilka ulic stanowią kolonią robotników z hut i górników, których kilkaset tutaj ma zajęcie i utrzymanie.

Kościołów jest trzy: dwa katolickie i jeden ewangielicki, ostatni niedawno wystawiony, z budowy zewnętrznej zupełnie jest podobny do kościoła w Krzeszowicach pod Krakowem, o którym w opisie okolic Krakowa wspomnieliśmy, tylko że jest nieco mniejszy i po wierzchu otynkowany. Nowy kościół katolicki przed trzema dopiero laty ukończony, swą wyniosłą wieżą góruje nad całem miasteczkiem.

Królewska huta dziwnie wygląda dla nieprzyzwyczajonego do tego rodzaju miejscowości, wszystko czarne okopcone. Wszedłszy w obręb fabryk, uderza huk machin, łoskot młotów, ryk miechów przy wielkich piecach, tak że prawie uszy trzeba zatykać. Tu i owdzie biegają robotnicy ciągnąc rozpalone bryły żelaza, to znów szyny już gotowe, istne piekło dla nieprzywykłego do podobnych widoków. Wieczorem przejeżdżając koło Królewskiéj huty, widok jest jeszcze więcej uderzającym. Z kominów buchają płomienie, nad miastem unosi się łuna jakby od pożaru, a wśród powszechnej ciszy i spokoju nocnego, łoskot i huk z huty. tem mocniej się rozlega.— Tu i owdzie uwijające się postacie, widzialne przy posępnem świetle, wydają się jakby duchy albo potępieńcy. Przestrzeń którą fabryki zajmują, otoczona jest żelaznemi sztachetami, w obrębie tym znajdują się cztery wielkie piece, fryszerka żelaza, piece do koksowania węgla, huty cynkowe, kancelarye, i t. d. przejdźmy wszystko porządkiem.

Wielkie piece używane powszechnie do wytapiania żelaza, są to duże baszty murowane, od dołu szersze, u góry węższe, te pospolicie za pomocą ganeczku połączone są z wieżą tej samej wysokości, z której sypią do nich rudę żelazną pomięszaną z wapnem (ułatwiającem wytopienie) warstwami, naprzemian z węglem. Po poddaniu ognia żelazo zwolna się wytapia i spływa na dół, a żużle czyli części szkliste nie zawierające już w sobie żelaza, na kształt rzeki ognistej lawy (*) wylewają się i stygną powoli, nieraz taki strumień zeskorupiały zwierzchu, wewnątrz nawet po kilku dniach jest jeszcze gorący i płynny. Piece wielkie w miarę jak się żelazo wytapia, na nowo, z góry nakładają tak, aby płomień nigdy nie wygasł, inaczej bowiem rychło się przepalają i niszczą, a wystawienie takiego pieca wymaga znacznego nakładu. Żelazo ztąd otrzymane leją do dołków w piasku wygniecionych, z ktorych wydobyte, jest w kawałach czworobocznych po parę centnarów ważących, zwanych gęsiami; jest to żelazo zwane surowcem. To przetopione jeszcze raz (przy czem odchodzi wiele nieczystości) białe i lśniące jak srebro, z przełamem drobnoziarnistym, idzie w handel jako czyste żelazo.

Do przetapiania powtórnego, a jeszcze więcej do machin nie używają surowego węgla, ale tak zwanego koksu czyli węgla wypalonego. Przy tej czynności otrzymuje się zarazem gaz wodorodny nadwęglisty, służący do oświetlania, (tak jak w Warszawie i w Krakowie obecnie ulice są oświetlone,) oraz smołę węglową używaną do smarowania dachów, sztachetów, poręczy i innych wyrobów drewnianych, dla ochronienia ich od robaków, oraz przedmiotów żelaznych dla ochrony ich od rdzewienia. Dzisiaj jeszcze po większej części koksują węgle, poukładawszy je w kupy które po obsypaniu miałem węglowym podpalają. Znaczną oszczędność jednakże można zaprowadzić przez wystawienie pieców umyślnie ku temu celowi przeznaczonych, jakie tutaj się znajdują.

Dla podniecenia płomienia w wielkich piecach potrzebne są miechy, i tu wyręczają je machiny parowe zwane dmącemi, jedna dla dwóch pieców. Takie duże machiny jedna o sile 60, druga o sile 80 koni, są umieszczone w osobnych wysokich budynkach, powietrze a właściwie wiatr zbiera się w bani żelaznej z grubej blachy kutej której średnica dochodzi do 25 łokci. Na wierzchu jest ganeczek, na który po schodkach wejść można, tu bania opatrzona jest klapą bezpieczeństwa z rurką napełnioną żywem srebrem, zwaną barotrem, a okazującą jak wielkie jest ciśnienie powietrza w bani nagromadzonego. Klapa taka koniecznie jest potrzebną, gdyby bowiem za wiele powietrza zgęszczonego zebrało się, ściany bani nie mogąc znieść prężenia uległyby, pęknięciu jak to się zdarzyło przed

(*) Lawą nazywa sie massa szklista roztopiona, wypływająca nieraz w bardzo wielkiej ilości z wulkanów czyli gór ogień wyrzucających. Lawa taka we Włoszech z Wezuwiusza lub Etny wypływając, zrządza często ogromne szkody.

ośmiu laty w Lauryhucie, że bania pękła, przyczem sześciu ludzi utraciło życie, a oprócz tego kilku zostało ciężko poranionych.

W walcowni czyli tak zwanej fryszerce, żelazo surowe wytopione w wielkim piecu oczyszczają i przerabiają. Żelazo takie idzie do pieców, w których rozpalone do białości przechodzi pod młot przeszło 80 cetnarów ważący, siłą pary poruszany, pod którym odpadają żużle czyli nieczystości. Po oczyszczeniu i skuciu w bryłę podłużną, rozpalone przechodzi pod ogromne nożyce pobobnie jak młot siłą pary ciągle poruszane, tnące bryły żelaza na kawałki z taką łatwością, jakby to były buraki, albo marchew; kawałki te jeszcze raz lub kilkakrotnie rozpalone, przeciągają pomiędzy walcami, z ustępami coraz to mniejszemi. Ciekawy widok przedstawia zręczność i wprawa robotników przeciągających kawały żelaza; bryła nieforemna z pieca wydobyta, w kilka minut w szynę zostaje zamienioną, szyny ciągną różnéj grubości, a zatem bardzo cienkie; walce, koła i wszystkie przyrządy są poruszane siłą pary. Obok walcowni jest mała machinka parowa, która swą siłą ciągnie z dołu do góry, na kolejach żelaznych przymocowanych na pochyłej płaszczyznie, wózki z węglem rudą żelazną i żuzlami zwanemi tutaj od robotników rejmówką i t. d. Z góry na dół wózki na tych kolejach zjeżdżają własnym ciężarem, bez użycia jakiejbądź siły.

Huty cynkowe są urządzone na zwykły sposób, galman nakładają do mufli, a po poddaniu ognia, cynk wytopiony spływa na dół, ten powtórnie przetapiają i leją w sztaby lub grube blachy, otrzymują też i biel cynkową.

Oprócz wspomnionych zakładów jest jeszcze w Królewskiej hucie kopalnia węgla, gdzie prace odbywaja się w ten sam sposób, jak i w innych kopalniach tego rodzaju.

W r. 1853 d. 28 Sierpnia, w Królewskiej hucie odsłonięto posąg wystawiony dla założyciela hut tutejszych.

W *Siemianowicach* są największe zakłady hutnicze w Szląsku, zwane hutą Laury.

Wszystko odbywa się w podobny sposób jak w Królewskiej hucie z czterech wielkich pieców. Podczas mojej tam bytności jeden był nieczynnym i dozwalał dogodnie obejrzyć całe wewnętrzne urządzenie, banie do zbierania powietrza są dwie, lecz za to mniejsze niżli w Królewskiej hucie. Prócz fryszerki, w której ciągną żelazo i ciągną w sztaby i szyny, jest też fabryka szyn pod kolej żelazną, które po wyciągnięciu pomiędzy walcami i wystygnięciu równają do poziomu za pomocą umyślnej maszyny, podobnej do tokarni.

Niedaleko Siemianowic są jeszcze znakomite zakłady hutnicze w *Szarlaju,* ale tych opisanie, nie chcąc się ciągle powtarzać, pomijamy.

Glwice miasto dość duże, słynne fabryką wyrobów żelaznych lanych, największą prawie w całych Prussach, leżą o trzy mile dalej, od Królewskiej huty oddzielone jeszcze dwoma stacyami kolei żelaznej Ruda i Zabrze, gdzie jest ogromny pokład węgla kamiennego.

Gliwice liczą do 10 000 mieszkańców, złożonych ż Polaków i Niemców. Kupcy, fabrykanci, urzędnicy, po większej części są Niemcy, niższe klassy ludności w mieście i lud wiejski w okolicy jest Polski. Język jednak tutejszych Polaków z powodu ciągłych stosunków z Niemcami uległ zepsuciu. Sliczna polska mowa, zapruszona niemczyzną więcej niż w innych okolicach Górnego Szląska. Boli ucho słyszeć obok pięknego wyrazu polskiego, wyraz z niemieckiego przekręcony. Język polski jest jak piękna łąka pełna kwiatów, a obce z niemieckiego wzięte wyrazy, pełzają po niej jak niebezpieczne gadziny po łące. Oczyszczać też należy z tych obcych wyrazów mowę naszą, i chronić jej jakby przybytku świętego. Nie jest to żadną zasługą ani rozumem umieć mówić po niemiecku, lub też innym jakim obcym językiem. Ale to jest prawdziwa zasługa, honor i rozum, jeżeli Polak kochając mowę ojców swoich, królów i świętych swoich, mówi czysto a dobrze po polsku. Górnoszlązacy popsuli już niemczyzną mowę swoją, ale od pewnego czasu rozumniejsi i lepsi, a kochający ojczyznę ludzie pomiędzy nimi, jak Józef Lompa, Kosiński, Ficek, Stelmach i wielu innych, zaczęli pracować nad oczyszczeniem języka polskiego i rozszerzeniem jego zamiłowania pomiędzy Górnoszlązakami. I tutaj w Gliwicach mieszka ksiądz Birnacki, który także pracuje na niwie ojczystego języka, a broniąc od zniemczenia ubogie sierotki, za-

łożył tu dom sierot górnoszląskich, na który z całej Polski składki posyłają.

Co do religii najwięcej jest katolików, lubo i ewangelików i izraelitów jest dość dużo. Ostatni mieszkają po większej części w miastach i nieodznaczają się ubiorem jak żydzi u nas, lecz ubierają się tak samo, jak i inni mieszkańcy.

Wieśniacy w Szląsku Górnym noszą ubiór właściwy, mężczyzni kapoty granatowe sukienne z krótkiemi stanami i świecącemi guzikami, i spodnie szerokie na buty. Kobiety noszą spódnice po kolana tylko sięgające, najczęściej niebieskie, kaftany granatowe lub ciemnozielone sukienne, obszyte galonem z krótkim stanem i bufiastemi rękawami, pończochy ponsowe długie sięgające powyżej kolan, poukładane w fałdy poprzeczne od góry do dołu, i trzewiki z mosiężnemi sprzączkami, na głowie chustki białe lub czerwone, których końce wiszą do pasa albo i niżej jeszcze. Przy pracy w dni powszednie tak mężczyzni, jako i kobiety na głowę kładą kapelusze pilśniowe z szeroką główką i rondkiem. Kobiety zarówno z mężczyznami pracują nietylko w polu, ale i przy fabrykach, lubo tu zawsze więcej bywa mężczyzn. Oryginalne są śpiewki ludowe, cokolwiek odmienne od śpiewek ludu w naszych stronach. Oto dla przykładu kilka próbek:

Kożuch z baranoma,
Kołnierz z pętlicoma.
Dycki, dycki, bez muzycki
Tup, tup, tup nogoma.
Jak ci ja był młody,
Miał ci kaftan modry
Z knepflickami (guziczkami.)
Kejem ci już stary,
Mam ci kafton szary
Bez knepflicków.

Śpiewki te zwykle wywodzą poważnym, a zarazem smętnym tonem, przy czem nieraz gestami dobitniej myśl swoją wyrażają.

(Dokończenie nastąpi.)

Książki nowe.

(Patrz Numer 52 r. z. Czytelni Niedzielnej.)

Obrazki historyczne z życia świątobliwych, błogosławionych i zasłużonych krajowi cnotą, nauką, i odwagą i męztwem Polaków i Polek, nakładem *księgarni A. Nowoleckiego* przez *Janka z Bielca* (Jana Kantego Gregorowicza) wydane, sprzedają się we wszystkich księgarniach warszawskich, po *groszy czterdzieści książeczka.*

Dotąd wyszło tych książeczek cztery. W. 52 numerze Czytelni niedzielnej z roku przeszłego, mówiąc o wyjściu pierwszej książeczki, wspomnieliśmy także, iż dawniej, to Tatarzy barbarzyńcy na ziemię naszą najazdy czynili, i co mogli, to niszczyli. Właśnie wtej samej książeczce jest opisana jedna taka historya, a są także narysowane i dwa obrazki, dwa straszne zdarzenia z tej historyj przedstawiające. Tutaj treść tej historyj opowiemy;

Oto za panowanie króla Bolesława piątego (V) Wstydliwym zwanego, w roku 1260, więc przeszło sześć set lat temu nie było u nas także jedności i zgody. Nogaj wódz tatarski, dowiedział się o tem, a tego tylko było mu potrzeba, aż klasnął w ręce z radości, i zaraz dał rozkaz:„Na Polskę! na Polskę!“ Nieprzeliczona tłuszcza tatarska na koniach, w szable, dzidy, i łuki ze strzałami uzbrojona zalała ziemię naszą, a wszędzie po drodze mordy, rabunki i pożary sprawiała. Gdyby była jedność i zgoda, to jakby się wszyscy razem ruszyli, to byliby barbarzyńców, jak nic napowrót przepędzili. Ale na nieszczęście każdy o sobie tylko myślał. Więc też możniejsi dowiedziawszy się o nadciągającej dziczy, czemprędzej siadali na koń: co mogli ładowali na wozy, i uchodzili barbarzyńcom z drogi, albo gdzie daleko w lasy, albo do miast większych, gdzie było bezpieczniej. Biedny zaś lud wiejski, co miał począć, sam sobie radzić nie umiał, więc bez żadnej rady i obrony, ot tak, co będzie, to będzie, siedział po wsiach, i za to też najwięcej ucierpiał. Tatarzy jak szarańcza ode wsi do wsi pędzili, a co tu i wziąć u biednego wieśniaka, więc też o to i niedbali, ale palili chałupy i stodoły ze wszystkiem, co w nich było; ludzi zaś młodych i starców, kobiety i dzieci zabijali, a tylko bydło zabierali.

Na obrazku w tej książeczce będącym, jest właśnie wyrysowane, jak jeden oddział tatarski napada, podpala dom i inne zabudowania, a mieszkańców wszystkich w pień wycina. Burząc tak i niszcząc wsie jedne po drugich, podstąpili nareszcie Tatarzy aż pod miasto Sandomierz, do którego wiele ludzi z okolicy schroniło się. Pogodziwszy się. i braterskie podawszy sobie ręce, wszyscy do ostatniego bronić się postanowili. Uradzili, co i jak robić, przedewszystkiem, ażeby w zgodzie i jedności kupy się trzymać, i słuchać tylko rozkazów wodza, na którego wybrano Piotra Krempę Starostę Sandomierskiego, dzielnego wojownika. Zmiarkował wszystko Tatarzyn, poznał, że siłą nic tu nie zrobi. Jednakże aby takowej obawy, niepewności, i podstępnych skrytych zamiarów nie pokazać, napada całą siłą na wały i okop miasta, raz, drugi i trzeci. Nasi bronią się walecznie, i za każdy raz najeźdnicze tatarskie chmary odpierają. Ale miasto w koło oblężone, z nikąd dowozu żywności mieć nie mogło. Różne ciężkie choroby

lud trapiły, więc wiele umierało, wiele też ginęło w strasznej walce z nieprzyjacielem. Z nikąd żadnej pomocy spodziewać się nie można było, nieprzyjaciel zaś z dniem każdym coraz większe siły przeciwko nam zgromadzał, a jako barbarzyniec gotów był całe miasto zniszczyć, spalić, i wszystkich ludzi wymordować. Co tu robić, wszystkich opanowała wielka obawa, jak się to skończy. Poddać się i wejść z wrogami dzikiemi w układy, to straszna hańba, a zarazem i klęska, bo spodziewać się należało, iż mnóstwo najlepszego ludu co nie wymordują, to wyłapią, zabiorą, i tam daleko na stracone w ciężką niewolę popędzą. I któżby wrogom barbarzyńcom wierzył, ktoby ich obietnic słuchał. Ktoby w układy wchodził z dziczą rzucającą się na świątynie, na domy, znieważającą wszystko, co dla prawego Polaka drogie i święte. Poddać się, znaczyłoby to samo, co wyznać swą niemoc, zdać się na łaskę i nie łaskę wroga, a tém samem jeszcze więcej rozzuchwalić go, i upoważnić go do takiego pastwienia się, do jakiego nieośmieliłby się nawet po najcięższej naszej przegranej walce. Przewidzieć, ani opisać się to nie daje, jakieby to nastąpiły mordy, pożogi, i zniszczenia. Na długie lata kraj niepodźwignąłby się z biedy. Waleczni obrońcy Sandomierza nad tém wszystkiem rozważali. Straszno było pomyśleć o przegraniu, jeszcze straszniej o poddaniu się. Nie tylko o sobie, i nie o jednem tylko mieście Sandomierzu myśleli, ale ważyli nadewszystko losy całej ojczyzny, jéj godność narodową, jéj przyszłość.

Tym sposobem walka nieustawała. Tatarzy ciągle, a coraz jakoby silniejsze napady na miasto przypuszczali, nasi mężnie bronili. Prawda, iż ciężkobyło naszym, ale też i najezdnicy kupami padali, i byliby co do jednego wyginęli, gdyby nie taka barbarzyńska chytrość i zdrada z ich strony. Oto niespodziewanie przybyli Tatarscy posłowie oświadczyli, że wódz ich chce wejść w układy, a dla tego naszego wodza do swego obozu zaprasza. Gdy się tak rzeczy zmieniły, że wróg w pokorę uderzył, i sam prosi, więc po namyśle i naradach, zgodzili się wszyscy na to, aby dla układów Piotr Krempa do obozu tatarskiego udał się. Lecz patrzmy, co to będzie dalej, i czy to można poganinowi wierzyć. Piotr Krempa zaledwie wszedł do namiotu, natychmiast Nogaj wódz tatarski nikczemnik porwał za kindżał, rzucił się na naszego wodza, i tam zdradziecko go zamordował. Jednocześnie prawie, tatarzy rzucają się jak wsciekli wprost na miasto, podpalają domy jeden za drugim, ludzi mordują i zabijają. Padła nieprzeliczona liczba ofiar, a wtej liczbie i wszyscy księża Dominikanie w kościele wówczas modlący się, miało ich być czterdziestu dziewięciu (49), a między niemi przełożony ich wielebny ksiądz Sadok.

Działo się to dnia 3 Czerwca; więc ojciec Święty Papież Bonifacy VIII dowiedziawszy się o tem od naszego króla Bolesława V, naznaczył na ten dzień nabożeństwo i odpust w Sandomierzu i w Rzymie wszystko to jest wymalowane na wielkich obrazach. w kościele katedralnym w Sandomierzu, i warto, iżby to każdy widział, i nad tem wszystkiem rozważał.

—

Potem w tej samej książeczce jest z dwoma obrazkami historya o Gejzie rozbujniku, i o jego nawróceniu się. Przebywał on w tej samej puszczy, w której jako pustelnik błogosławiony Andrzej Żurawek z Opatowa mieszkał i życie zakończył. Przykład cnotliwego, bogobojnego życia i dla Gejzy rozbójnika zjednał u Stwórcy błogosławieństwo żalu, skruchy, i zupełnego wyrzeczenia się dawnych błędów.

Nareszcie są jeszcze dwie historye o Annie Jagielonce i Janie Tarnowskim.

Różności.

Piszą ze Żmudzi do Gazety Polskiéj: Ponieważ duchowieństwo u nas, najdokładniej obznajmione z językiem zmudzkim, zatém z pism dla ludu, najwięcej jest wydawanych przez duchowieństwo w Petersburgu, lub Wilnie elementarzy książek do nabożeństwa, żywotów swiętych i t.p. Gorliwością w staraniach około oświaty ludu łożoną odznacza się w powiecie Szawelskim ks. proboszcz Szawkiański, J. Januszkiewicz; przy szkółce tamecznéj parafialnej, która jego staraniom winna swój początek, w której sam i organista uczą dzieci włościańskie, utrzymuje prawie wyłącznie swoim kosztem do 20 tu biednych dziatek włościańskich. Pani Czapska, w dobrach swoich Birżanach, powiecie Szawelskim położonych, od nowego roku urządziła szkółkę dla ludu wiejskiego, do której uczęszcza kilkunastu chłopców. Postarała się o nauczyciela biegłego w języku żmudzkim, sprowadziła potrzebne do nauczania książki i wszystkie koszta, jakie utrzymanie szkółki wymagają, ze swoich funduszów zaspakaja.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12.— półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3 —miesięcznie złp. 1 Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 13 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 1 Lutego 1863 r.